

PRZEŁOŻYŁA BARBARA BRUKS

DANA
GRIGORCEA

NIE UMAR LI

MO
VA

DANA
GRIGORCEA

NIE UMAR LI

Z NIEMIECKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Barbara Bruks



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Die nicht sterben

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracje na okładce: © FrankBoston; © Viktoriia; © Alekss;

© evgeny / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2021 by Penguin Verlag,
a division of Penguin Random House Verlagsgruppe GmbH, München, Germany

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova
an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Barbara Bruks, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pismennej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-439-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl





I

JOHNNY I JEGO ŚMIERĆ

Nie mogę się powstrzymać przed opowiedzeniem tej historii, zwłaszcza że doświadczyłam jej z bliska i wiem, że wszystkie relacje w mediach są nieprawdziwe. Nie będę dywagować nad powodami takiego stanu rzeczy – brakiem czasu na zebranie informacji, dziennikarską niekompetencją, żądzą sensacji i co oczywiste, osobistymi interesami – bo ogarnia mnie wtedy rezygnacja, która zaszkodziłaby opowieści. Miejsce zdarzeń nazywać będę po prostu B. – po pierwsze dlatego, że nie chcę się przyczyniać do jego wątpliwej sławy, po drugie, ponieważ historia ta, choć znamienita dla naszej wołoskiej moralności, równie dobrze mogłaby się rozegrać w wielu innych miejscach na świecie.

Aby ułatwić orientację tym z państwa, którzy nic jeszcze nie słyszeli o sprawie, nadmienię, że B. to małe miasteczko

na Wołoszczyźnie, na południe od Transylwanii, u stóp Karpat. Dla urlopowiczów z Bukaresztu i Braszowa, przyjeżdżających tu do swoich domów letniskowych, miejscowość ta była po prostu wsią, tutejsi zaś przekornie określali ją miastem, ponieważ nad rzeką stała wcześniej ogromna tkalnia, która wielu rolników uczyniła robotnikami. Moi bliscy, godząc obie strony, nazywali B. po prostu cudownym kurortem. Miejsce to – przynajmniej w tej kwestii panuje konsensus – aż do wydarzeń, o których opowiem, nie było łączone ani z Draculą, ani z innymi historiami o wampirach.

Zanim doszło do przełomu politycznego w 1989 roku, w B. można było najmować na wakacje całe wille. My zawsze wybieraliśmy tę na skraju lasu. Willa Diana, nazwana imieniem dobrze znanej również w tej okolicy bogini łowów, była niemal jak zamek, chociaż zniekształcony na przestrzeni lat wieloma fatalnie wykonanymi przebudowami. Na pierwszym piętrze znajdowała się duża galeria z balustradą z kolumn, całość pomalowana była jednak na biało i sprawiała skromne wrażenie. Zmienne światło słońca i księżyca rysowało na fasadzie cienie drzew, falujące na wietrze i załamujące się bizarnie na wszystkich narożnikach.

Przyjeżdżaliśmy ze stolicy kilkoma autami z licznym gronem krewnych i przyjaciół, obładowani dobytkiem mojej babki ciotecznej Margot: bagażniki wypchane były poduszkami i poszwami, srebrnymi świecznikami, dużym perskim dywanem do położenia w salonie, ikonami –

niezliczonymi prawosławnymi ikonami – wielkim lustrem w srebrnej ramie, rozmaitymi tureckimi szablami i arabskimi talerzami do zawieszenia na wysokich ścianach.

W pierwszy dzień po przyjeździe pozbywaliśmy się całego niedorzecznego komunistycznego kiczu, jak nazywała go Margot. Z ogromną radością odwieszała po kolei każdą makramę, unosząc ją wysoko w koniuszkach palców i wołając: „Spójrzcie tylko na to!”, a my krzyczeliśmy jednogłośnie: „O nie, litości!”. „Ale zobaczcie na te bibeloty, na tego rybaka ze szklanym okoniem na wędce!”, na co odpowiadaliśmy znów: „O nie, litości!”.

Matka napominała nas, żebyśmy byli ostrożni i nic nie zepsuli, chcemy tu przecież jeszcze przyjeżdżać, podczas gdy sama delikatnie pakowała rzeczy do drewnianych skrzynek: zwinięty kilim z *Uprawdzeniem z seraju*, wypchaną wiewiórkę, lampy.

– Naprawdę macie zamiar siedzieć przy świecach?

– Tak, lepiej przy świecach niż w świetle takich lamp!

I zносиła wszystko do piwnicy.

Meble, które Margot uważała za szczególnie szkaradne, nakrywaliśmy białymi narzutami; udawaliśmy wtedy ze śmiechem, że znikają pod płótnem za sprawą czarów.

Na sam koniec Margot wśród radosnych okrzyków robiła obchód całego domu z chochlą, w której tliło się kadzidło, żeby wykurzyć duchy *basse classerie* przynajmniej na czas naszych wakacji.

Kiedy kończyliśmy, wszystko było tak urządzone, że Margot przypominała sobie willę swojego ojca sprzed

wywłaszczenia, które dzięki przemeblowaniom można było na okres naszego pobytu uznać za cofnięte.

Otwieraliśmy uwolniony od bibelotów i szklanych ozdóbek fortepian, stary ibach, i kto tylko potrafił grać, uderzał w klawisze. Zaraz rozbrzmiewał *Marsz Radetzkiego* albo jakiś śmieszny fragment z *Rapsodii rumuńskich*, a przesywające dźwięki rozstrojonego instrumentu zagrzewały nas do głośnych okrzyków i aplauzów.

Potem siadaliśmy na krzesłach i taboretach wokół dużego stołu, zmęczeni, oparci o siebie nawzajem, zastygli w myślach – obraz z głębokim *chiaroscuro*. Mimowolnie przychodzi mi do głowy Rembrandtowska *Lekcja anatomii doktora Tulpa*: towarzystwo odświętnie ubrane na spektakl anatomiczny, zamyślane spojrzenia odpływające we wszystkie strony, ale na stole, zamiast rozciętych zwłok, sterty ciastek, zwłaszcza biszkoptów, które tak lubiłam. Zanurzałam je w malinowej lemoniadzie z wodą sodową, podczas gdy tuż obok, za mosiężnymi talerzami, czałł się *umbra mortis*.

– Spójrz tylko, kochanie – zwracała się do mnie Margot ze wzruszeniem – jest prawie jak dawniej.

– Cudownie! – odpowiadałam żarliwie, żeby zrobić jej przyjemność, a może też dodać sobie otuchy. Bo zdawało mi się, że kątem oka widziałam, jak okryte meble ledwo dostrzegalnie przesuwały się ze swoich nowych miejsc.

Najbardziej przerażał mnie skrzypiący parkiet, przytłumiony chrobot pod dywanem, a do tego fakt, że natychmiast milknął, kiedy tylko zaczynaliśmy się ruszać.

Dobrze pamiętam też panujący w willi chłód, stęchły zapach, słodkawe kadzidło mieszące się z damskimi perfumami; i jak świece często gasły od silniejszego powiewu albo przez żarty naszych gości. Zgiełk rozmów brzmiał uspokajająco, dyskusjom i śmiechom nie było końca, goście krążyli po całym domu, jeszcze w nocy parzyli herbatę i grali w karty, dopóki wybijała północ – wtedy wychodzili na spacer, by wkrótce wrócić, wciąż zanosząc się śmiechem i ostentacyjnie uciszając: „Psst, psst! Nie róbcie tyle hałasu!”.

„*Zitti, zitti!*”, intonował ktoś wtedy i pozostali z trudem tłumili chichoty.

Początek temu *zitti, zitti* dała anegdota jednego z naszych gości, Gea, barytona opery w Bukareszcie. Geo opowiedział nam kiedyś, jak chórzyści w scenie nocnego porwania w *Rigoletcie* musieli nieść o wiele za ciężką drabinę, przez co brakowało im tchu, jeszcze zanim zaczęli śpiewać. Gdy intonowali delikatną arię *Zitti, zitti, moviamo a vendetta*, rozpaczliwie zbierając resztki sił, nagle huczeli przeraźliwie głośnym: „*Zitti, zitti* – cicho, cicho, chodźmy się zemścić”. Publiczność podskakiwała wystraszona donośnym „cicho, cicho”, po czym wybuchała śmiechem.

Ulubionym psikusem Margot i naszych gości – oprócz zdmuchiwanie świec – stało się zakradanie do kogoś od tyłu, by nagle zaśpiewać na całe gardło: „Cicho, cicho, chodźmy się zemścić!”.

Pamiętam też oczywiście strumień płynący przez las za willą. Ze względu na pobliską tkalnię co jakiś czas zabarwiał się na czerwono. Zaraz ktoś wychodził na galerię na

pierwszym pięttrze, wyciągał rękę i krzyczał drżącym głosem: „Spójrzcie, oto wody rzeki przemieniły się w krew!”.

Muszę przyznać, że dobrze się bawiliśmy w tamtych czasach, nasi goście zawsze byli skorzy do żartów i bez ustanku się nawzajem rozśmieszali. Śmiech wydawał się należeć do najważniejszych obowiązków zarówno gości, jak i gospodarzy.

Z podwórza prowadziła wąska ścieżka do kortu tenisowego o ceglasczerwonej nawierzchni; w moich wspomnieniach zawsze świeci tam słońce. Często grałam z miejscowymi przyjaciółmi naszej rodziny, przychodzili też ludzie z okolicy. Ćwiczyliśmy się w deblu. Margot nie przegapiła ani jednego meczu, zawsze cała na biało – podobnie ubierała też mnie. Mieliśmy drewniane rakiety; moja, polakierowana na czarno, oblepiona była na górze plastrem z tkaniny, żeby nie odpryskiwały od niej drzazgi, kiedy zahaczałam o ziemię. Słyszę jeszcze w uszach ten soczysty dźwięk odbijanej piłki, spowolniony rytm uderzeń i kontr z odległego końca kortu.

Spędzałam w B. całe lato, czasem też zimę, razem z moją cioteczną babką Margot, która choć wcale nie starsza od mojej matki, przejawiała staroświeckie, arystokratyczne maniery mojej babki, a jej siostry z pierwszego małżeństwa pradziadka. Przez pewien czas nazywałam ją Mamargot.

W mojej głowie jest też wciąż to prześwietlone zdjęcie, na którym siedzimy razem na ogrodowej ławce przed wilłą: Mamargot trzyma głowę zadartą, tak że wyrazista linia

jej podbródka równo oddziela światło od cienia. Jej białe ręce obejmują mnie w talii, mam może siedem lat, jestem niemal chuda, z wykrzywioną miną zerkam pod słońce, obwieszona jej naszyjnikami, kolczykami i pierścionkami.

– U mnie wszystko ci wolno – stwierdziła kiedyś Marmagot i zaraz mi też zasugerowała, do jakiego zuchwalstwa mogłabym się posunąć: – Nawet gdybyś chciała sobie wygolić jedną brew, wolno by ci było to zrobić.

Podobno rzeczywiście ogoliłam wtedy lewą brew, choć zupełnie nie potrafię sobie już tego przypomnieć, znam tylko entuzjastyczne opowieści naszych przyjaciół, którzy regularnie odwiedzali nas w B.: „Pamiętasz, jak kiedyś ogoliłaś sobie brew?”.

Najzuchwalszy czyn, jaki pamiętam, wiąże się z budką telefoniczną, która stała tuż przed bramą do naszego ogrodu. W środku wisiał nieomal przezroczyście lazurowy aparat na monety. Kiedy tylko do moich rąk dostał się jakiś pieniążek, niechybnie lądował w automacie. Wykręcałam palcem na rzeżącej tarczy byle jaki numer, wstrzymując na moment oddech, słuchałam obcego głosu pytającego, kto dzwoni, po czym odkładałam bez słowa. Czasami udawało mi się przemóc i wyrzucić z siebie jakieś pytanie: czy u państwa też jest awaria wody, kiedy zwróci pani książki do biblioteki, czy to u państwa tak dobrze pachnie jedzeniem albo co dziś na obiad. Obcy ludzie reagowali z ufnością i ku mojemu zdumieniu wdawali się w rozmowę.

Kiedyś pewna starsza dama przedstawiła mi swój przepis na tradycyjny cozonac; opowiadała, że piekąc od

dziesięcioleci to zaplatane ciasto, uczyniła z niego własną specjalność. Gdy dyktowała, dopytywała co jakiś czas: „Zapisałaś?”.

„Tak”, kłamałam.

We wszystkim, co państwu opowiem, dostrzeżecie złowrogie znaki zapowiadające to, co stało się później. Będziecie się zastanawiać nad zwiastunami – zwiastunami szoku, niewyobrażalnych okrucieństw, najstraszliwszej ze śmierci.

Niektórzy spośród państwa będą interpretować te wydarzenia w kontekście barbarzyńskiego czasu komunizmu, jako skutek trwającej czterdzieści lat dyktatury w Rumunii, która ponoć wydała na świat inny gatunek ludzi. Powiecie państwo, że wszystkie te wypadki najpierw należy umieścić na tle historycznych i geograficznych powiązań. I przyznam państwu rację, niewątpliwie ze względu na moje dość fatalne położenie. Nie różnię się bowiem od podobnych mnie, a jeśli ich osądzać, to osądzić trzeba też mnie; mimo że korzystne czynniki, takie jak wykształcenie czy status mojej rodziny, pozwoliłyby mi pójść inną drogą życiową. Ja jednak zostałam, wyjechałam tylko na krótki czas za granicę i wróciłam. Tak, przypatrywałam się wszystkiemu, sparaliżowana ze strachu jak królik przed żmiją.

Chcę państwu zatem opowiedzieć o tym, czego doświadczyłam, uczciwie i bez ogródek: krok po kroku, aż dojdziemy do wydarzeń, które napełniają mnie strachem.

Sięgnij po więcej!



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova